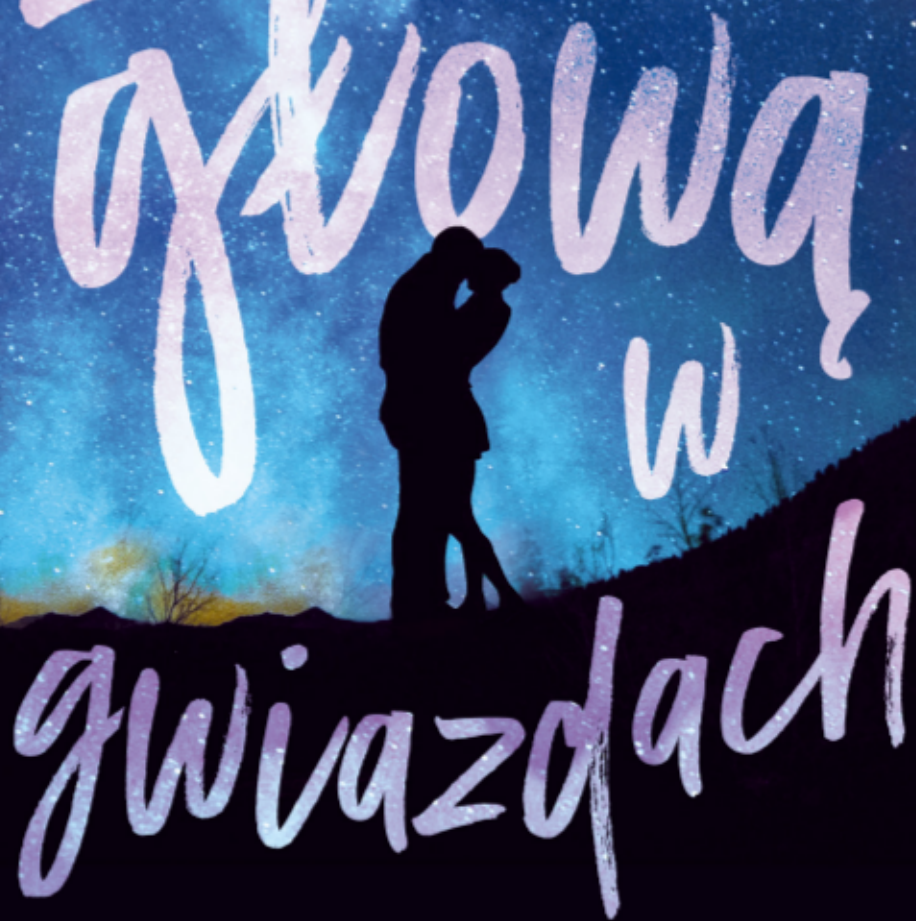


JENN
BENNETT

Z
gwiazd
w
gwiazdach



Z
głową
w
gwiazdach

JENN
BENNETT

Z
głową
w
gwiazdach

Przełożyła
Anna Bereta-Jankowska

IUVI

Tytuł oryginału
Starry Eyes

Text copyright © 2018 by Jenn Bennett. All right reserved.

Copyright © for the Polish translation by Anna Bereta-Jankowska, 2019

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo IUVI, 2019

Opracowanie redakcyjne i DTP
Pracownia Edytorska „Od A do Z” (oda-doz.pl)

Redakcja
Katarzyna Kolowca-Chmura

Korekta
Katarzyna Kierejsza

Typografia i DTP
Anna Cupiał

Illustrations designed by Freepik.com

Projekt okładki
Studio Karandasz

Wydanie I, Kraków 2019
ISBN 978-83-7966-053-7



www.iuvi.pl

www.facebook.com/WydawnictwoIUVI

biuro@iuvi.pl

*Mojemu bratu i bratowej, którzy pobrali się po zaginięciu w głuszy
podczas weekendowej wycieczki z biwakowaniem.*

*Nie ma to jak odrobina strachu o życie,
żeby wzniecić płomienne uczucie*



1

Spontaniczność jest przereklamowana. Filmy i programy w telewizji przekonują nas, że życie jest piękniejsze, jeśli bywasz na imprezach i wskakujesz do basenu w pełnym ubraniu. Tymczasem wszystko jest starannie wyreżyserowane za kulisami. Woda jest podgrzana do przyjemnej temperatury. Kadry i oświetlenie dopracowane. Dialogi wykute na pamięć. Końcowy efekt jest zachęcający, bo ktoś skrupulatnie zaplanował najdrobniejszy szczegół. Kiedy już zdasz sobie z tego sprawę, życie staje się prostsze. Przynajmniej z moim tak było.

Lubię mieć wszystko doskonale zorganizowane i mało mnie obchodzi, co inni o tym myślą.

Wierzę w harmonogramy, rutynę, kalendarze oklejone kolorowymi karteczkami, listy rzeczy do zrobienia wypunktowane na papierze milimetrowym, precyzyjnie ułożone plany. Plany, których nie da się pokrzyżować, bo są solidnie przemyślane z uwzględnieniem wszystkich możliwości i potencjalnych rezultatów. Żadnej improwizacji, zero dowolności. Z tego rodzą się wyłącznie nieszczęścia.

Ale nie dla mnie. Moje życie toczy się według starannie opracowanych projektów, których kurczowo się trzymam. Na

przykład lato. Do końca wakacji zostały trzy tygodnie. Wkrótce będę obchodzić osiemnaste urodziny i rozpocznę ostatni rok szkoły, ale na razie zamierzam, co następuje:

Plan pierwszy: dwa przedpołudnia w tygodniu pracować u rodziców, w Klinice Zdrowia i Urody Everhart. Zastępuję ich etatową recepcjonistkę, która odbywa letni kurs na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Moja mama jest ekspertem od akupunktury, a tata specjalizuje się w masażu terapeutycznym i wspólnie prowadzą klinikę. Dla mnie oznacza to tyle, że zamiast smażyć burgery i znosić chamstwo klientów podjeżdżających pod okienko po zamówienie, łapię sobie zen w spokojnej recepcji, gdzie nad wszystkim doskonale panuję i dokładnie wiem, który klient pojawi się za chwilę w drzwiach. Żadnych niespodzianek, zero dramaturgii. Wszystko przewidywalne, tak jak lubię.

Plan drugi: zrobić zdjęcia nadciągającego deszczu Perseidów z moim klubem astronomicznym. Astronomia to mój Święty Graal. Gwiazdy, planety, księżycy, wszystko, co kosmiczne. Przed wami przysłała pani astrofizyk NASA, *voilà*.

Plan trzeci: unikać jak ognia wszelkiego kontaktu z naszymi sąsiadami, rodziną Mackenzie.

Jeszcze pięć minut temu wszystkie wymienione elementy układały się w idealnie harmonijną całość. Teraz, nagle, moje wakacyjne plany zamieniają się w ruchome piaski, bo mama usiłuje mnie namówić na wyjazd pod namiot.

Ja. Pod namiot.

Rzecz w tym, że o przyrodzie nie wiem nic. Nie jestem nawet pewna, czy lubię przebywać poza zamkniętymi pomieszczeniami. Sądziłam, że rodzaj ludzki wyewoluował już na tyle, że może sobie odpuścić świeże powietrze i światło słoneczne. Jeśli najdzie mnie ochota na oglądanie dzikich zwierząt, włączę sobie dokument w telewizji.

Mama dobrze o tym wie. Chwilowo próbuje mnie jednak omamić jakimś idealizmem *à la* Henry David Thoreau, który twierdził, że Matka Natura wszystkich nas kocha. Jasne, mama zawsze opowiada o zaletach medycyny naturalnej i dobroczynnych skutkach wegetarianizmu, ale teraz pieje peany na cześć majestatycznego piękna wielkiego stanu Kalifornia i zachwala, jaką to „szansą jedną na milion” byłoby dla mnie doświadczenie prawdziwej przyrody, zanim jeszcze zacznie się szkoła.

– Powiedz szczerze, naprawdę widzisz mnie na kempingu? – pytam, zakładając za uszy ciemne sprężynki loków.

– Nie na kempingu, Zorie – wzdycha. – Pani Reid zaprasza cię na *glamping*. – Przechyla się przez ladę recepcji w swoim służbowym mundurku z logo kliniki wyhaftowanym na tunice i opowiada szeptem o bogatej klientce, która właśnie zażywa relaksu na stole do akupunktury w jednym z naszych gabinetów, delektując się nieco staroświeckimi, lecz kojącymi dźwiękami utworów Enyi, patronki alternatywnych klinik zdrowia i urody na całym świecie.

– Glamping... – powtarzam sceptycznie.

– Pani Reid mówi, że zarezerwowali luksusowe namioty w górach Sierra Nevada, gdzieś pomiędzy Parkiem Narodowym Yosemite a King’s Forest – wyjaśnia mama. – Kemping w stylu *glamour*. Rozumiesz? Glamping.

– Ciągłe to powtarzasz, ale dalej nie rozumiem, na czym to właściwie polega. Jak namiot może być luksusowy? Przecież śpi się na ziemi!

Mama pochyla się jeszcze bliżej, żeby wszystko mi wytłumaczyć.

– Pani Reid i jej mąż zostali w ostatniej chwili zaproszeni do domku letniskowego znajomych w Szwajcarii, więc nie mogą jechać na wcześniej zaplanowane wakacje. Mają rezerwację eleganckiego namiotu. Ten kompleks biwakowy...

– To nie jakaś kultowa miejscówka hipisów, co?

Mama wydaje jęk zniecierpliwienia.

– Posłuchaj. Mają tam szefa kuchni, który przygotowuje wyśmienite potrawy, palenisko pod gołym niebem, prysznic z gorącą wodą, wszystko, czego dusza zapagnie.

– Pysznic z gorącą wodą – pry cham z przekąsem. – Mów mi jeszcze.

Puszcza mój komentarz mimo uszu.

– Chodzi o to, że czujesz bliskość natury, a nie musisz znosić żadnych niewygód. Kompleks cieszy się taką popularnością, że organizują loterię na rezerwacje namiotów z rocznym wyprzedzeniem. Nocleg i wyżywienie są już opłacone. Pani Reid mówi, że szkoda by było, żeby wszystko przepadło, i dlatego pozwoliła Reagan pojechać tam na tydzień z koleżankami. Wiesz, taki wyjazd na hura, by nacieszyć się swobodą przed ostatnim rokiem nauki.

Pani Reid jest matką Reagan, gwiazdy sportu, królowej mojej klasy i – w pewnym sensie – mojej przyjaciółki. Prawdę mówiąc, z Reagan przyjaźniłyśmy się, kiedy byłyśmy młodsze. Potem jej rodzice dorobili się sporych pieniędzy i zaczęła się zadawać z innym towarzystwem. Do tego trenowała do olimpiady. Zanim się zorientowałam, nasze drogi się rozeszły.

Aż do zeszłej jesieni, kiedy pewnego dnia, podczas lunchu, znowu zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać.

– Dobrze ci zrobi, jak spędzisz trochę czasu na świeżym powietrzu – nie daje za wygraną mama, bawiąc się swymi ciemnymi włosami i usilnie próbując mnie przekonać do zwanego wyjazdu pod namiot.

– W przyszłym tygodniu mam obserwować deszcz meteorów – przypominam jej.

Dobrze wie, że wszystko starannie planuję. Nieoczekiwane zwroty akcji zupełnie zbijają mnie z tropu, a ten cały

kemping – o, *pardon*, glamping – wywołuje we mnie bardzo, ale to bardzo silny niepokój.

Mama zamyśla się na chwilę.

– Mogłabyś wziąć teleskop ze sobą. Gwiazdy nocą, górskie wycieczki za dnia.

Górskie wycieczki brzmią w sam raz dla Reagan. Ma uda twarde jak głaz i sześciopak na brzuchu. Ja dostaję zadyszki po przejściu dwóch przecznic do kawiarni, o czym chciałabym przypomnieć mamie, ale ona zmienia front, przerzucając się na grę na moich uczuciach.

– Pani Reid mówi, że Reagan miała bardzo ciężkie lato. Martwi się o nią. Chyba ma nadzieję, że wycieczka podniesie ją na duchu po tych feralnych czerwcowych kwalifikacjach.

Reagan potknęła się wtedy i padła na twarz – dosłownie! – przez co nie dostała się do drużyny olimpijskiej. Zaprzepaściła swoją wielką szansę na udział w przyszłorocznych mistrzostwach i będzie musiała czekać kolejne cztery lata. Cała jej rodzina była załamana, ale i tak się dziwię, że matka martwi się o córkę.

Kolejna myśl świta mi w głowie.

– Czy pani Reid sama zaproponowała mój udział w tym wyjeździe, czy ty maczałaś palce w zaproszeniu?

Mama uśmiecha się, lekko zmieszana.

– Trochę tak, troszkę tak.

Opieram czoło na ładzie recepcji.

– Daj spokój. – Potrząsa mnie za ramię, aż podnoszę głowę. – Była zaskoczona, że Reagan sama cię jeszcze nie zagadnęła, więc na pewno omawiały twój udział w wycieczce. Może przyda wam się kilka wspólnych dni. Ona stara się odzyskać wewnętrzną siłę. Ty wciąż powtarzasz, że nie potrafisz się zgrać z jej nową paczką, więc teraz masz okazję spędzić z nimi trochę czasu poza murami szkoły. Powinnaś

dziękować mi na kolanach – dokucza mi mama. – Może coś w stylu: „Przyjmij wyrazy wdzięczności, najlepsza mammo na świecie, za przekonanie mnie do wydarzenia tego lata. Jesteś moją bohaterką, Joy Everhart”? – Łapie się za serce w teatralnym geście.

– Jesteś taka dziwna... – mruczę, udając apatię.

Uśmiecha się szeroko.

– Ty to masz szczęście, prawda?

Tak, trzeba przyznać, mam szczęście. Wiem, że naprawdę zależy jej na mojej pomyślności, że zrobiłaby dla mnie wszystko. Joy to w zasadzie moja macocha. Moja rodzona mama zmarła nagle z powodu tętniaka, kiedy miałam osiem lat i mieszkaliśmy jeszcze po drugiej stronie zatoki, w San Francisco. Po jej śmierci tata z dnia na dzień postanowił, że wyspecjalizuje się w masażu terapeutycznym, i wydał na licencję wszystkie pieniądze z jej polisy na życie. Często działa pod wpływem impulsu. Tak czy inaczej, poznał Joy na zjeździe miłośników medycyny niekonwencjonalnej. Kilka miesięcy później byli już po ślubie i przeprowadziliśmy się razem do Melita Hills, gdzie wynajęli lokal na klinikę i mieszkanie tuż obok.

Trzydziestoosmioletnia Joy jest o kilka lat młodsza od mojego taty, a ponieważ jest Koreanką, zdarzyło mi się trafić na dociekliwych bystrzaków wytykających oczywistość, że ta kobieta nie może być moją biologiczną matką. Tak jakbym sama nie widziała, że ona jest Azjatką, a ja mam zachodnią urodę i wybitnie bladą cerę – autentycznie, cierpię na niedobór witaminy D. Szczerze mówiąc, czuję, że Joy *jest* moją mamą. Moje wspomnienia Życia Sprzed Joy są dość wyblakłe. Przez lata zżyłam się z nią bardziej niż z tatą. Wspiera mnie i motywuje. Gdyby jeszcze nie miała takiej obsesji na punkcie zdrowego stylu życia, byłaby bliska ideału.

Choć wcale mi się to nie uśmiecha, muszę przyznać, że entuzjazm, z jakim mówi o glampingu, nie jest pozbawiony sensu. Wypełniony atrakcjami wypad z bliskimi znajomymi Reagan zdecydowanie wzmocniłby moją pozycję w szkole, wiecznie zagrożoną przez kontakty z ludźmi mniej zamożnymi i mniej popularnymi. Chciałabym się poczuć pewniej w paczce dawnej przyjaciółki i przy niej samej. Szkoda tylko, że zamiast od Reagan zaproszenie wyszło od jej matki.

Drzwi kliniki otwierają się szeroko i do poczekalni wkracza mój ojciec, świeżo ogolony, z ciemnymi włosami starannie zaczesanymi w tył na żelu.

– Zorie, dzwonił pan Wiley?

– Odwołał dzisiejszą wizytę – informuję. – Ale poprosił o pół terminu w czwartek.

Pół terminu oznacza połowę zapłaty, ale tata szybko maskuje rozczarowanie. Mógłby się dowiedzieć o śmierci najlepszego przyjaciela, a w następnej sekundzie beztrudnie umawiałby się na mecz squasha w klubie. Mówią na niego „Diamentowy Dan”. Blichtr i blask w każdym calu.

– Czy pan Wiley podał przyczynę nagłej rezygnacji? – pyta.

– Sytuacja awaryjna w jednej z jego restauracji – donoszę. – Szef kuchni z telewizji przyjeżdża nagrać odcinek programu.

Pan Wiley to jeden z najznakomitszych klientów taty. Jak większość pacjentów kliniki nie wie, co robić z pieniędzmi, i stać go, by przepłacać za masaże czy akupunkturę. Nasz gabinet wellness jest najlepszy w Melita Hills, a o mamie napisali nawet w „San Francisco Chronicle”, określając ją mianem jednej z najwybitniejszych akupunkturzystek nad zatoką San Francisco, „wartej wyprawy przez Bay Bridge”. Ceny w klinice rodziców są adekwatne do ich reputacji.

Niestety w ostatnim roku liczba osób korzystających z usług kliniki powoli – lecz wyraźnie – malała. Główną przyczyną spadku zainteresowania i solą w oku mojego ojca jest interes, który otwarto tuż obok. Ku naszemu jednomyślnemu zażenowaniu sąsiadujemy teraz ze sklepem oferującym zabawki dla dorosłych.

Tak, *tego typu* zabawki.

Trudno przechodzić obojętnie obok gigantycznego szyldu w kształcie waginy. Nasi dobrze sytuowani klienci też go nie przeoczyli. Ludzie z klasą zwykle niechętnie parkują przed sex shopem, kiedy zmierzają na masaż. Moi rodzice dość szybko się o tym przekonali, kiedy stali bywalcy zaczęli odwoływać cotygodniowe wizyty. Ci, którzy pozostali wierni naszej świetnej lokalizacji w pobliżu wszystkich ekskluzywnych butików na Mission Street, są zbyt ważni, by ich stracić, o czym tata przypomina mi przy każdej możliwej okazji.

Dlatego wiem, że zdenerwowała go odwołana wizyta pana Wileya – był jedynym klientem zapisanym do taty na dziś – ale kiedy opuszcza recepcję i zamyka się w swoim gabinecie, by położyć się w samotności, mama zachowuje stoicki spokój.

– A więc? – wraca do tematu naszej rozmowy. – Mogę powiedzieć pani Reid, że pojedziesz z Reagan na glamping?

Jakby liczyła na to, że dam jej ostateczną odpowiedź na oczekaniu, bez rozważenia wszystkich za i przeciw. Z drugiej strony naprawdę nie chcę gasić jej entuzjazmu.

– Podchodź do spraw z rozwagą, ale nie z rezerwą – poucza mnie. – Ci, którzy podchodzą z rezerwą, boją się i stronią od tego, co nieznane. Ludzie rozważni z kolei planują, aby zachować pewność siebie, kiedy przyjdzie im się zmierzyć z nowymi wyzwaniem. – Słyszę ten sam wywód, ilekroć wyrażam niechęć do zmiany planów. – Wszystko razem sprawdzimy.

– Przemyszę to – odpowiadam dyplomatycznie. – Możesz powiedzieć pani Reid, że wysłę do Reagan SMS-a z prośbą o szczegóły, a potem podejmę ostateczną decyzję. Nieźle się spisałaś, doktor Wtykalska.

Posyła mi triumfujący uśmiech.

– Skoro mowa o pani Reid, lepiej pójdę wyjąć jej igły, zanim mi zaśnie na stole. A, prawie zapomniałam. Był kurier?

– Nie, tylko zwykły listonosz.

Marszczy brwi.

– Dostałam maila z potwierdzeniem dostarczenia przesyłki.

No, pięknie. Wiadomo, co to oznacza. Mamy problem z niechlujstwem doręczycieli. Nasze przesyłki wiecznie trafiają obok, do sex shopu, bezpośrednio związanego z punktem trzecim w moim planie doskonałego lata: unikać wszelkiego kontaktu z rodziną Mackenzie.

Mama wydyma dolną wargę i patrzy na mnie błagalnie.

– Pięknie proszę – mówi słodko. – Nie skoczyłaś do sąsiadów spytać, czy nie dostali przypadkiem mojego zamówienia?

W odpowiedzi wydaję z siebie jęk.

– Poszłabym sama, ale wiesz, pani Reid leży w moim gabinecie ponabijana igłami jak jeź – tłumaczy, wskazując kciukiem w głąb kliniki. – Mam jej przywrócić siły witalne, nie poddawać torturom. Nie może tam tkwić całe wieki.

– Idź w przerwie na lunch. – Już raz w tym tygodniu odbyłam wyprawę do świata rozkoszy cielesnych, tym samym wyczerpując limit podobnych wycieczek.

– Za godzinę wychodzę na obiad z babcią, pamiętasz?

Rzeczywiście. Ma na myśli swoją matkę. Babcia Esther nie toleruje spóźnień, co osobiście w pełni popieram. Nie zmienia to jednak faktu, że wołałabym wrywanie zęba niż kontakt z sąsiadami.

– Co to w ogóle za paczka? Coś ważnego?

– W tym rzecz – mówi mama, zbierając długie, proste włosy w kok na czubku głowy. – Powiadomienie przyszło od jakiejś Catherine Beatty. W życiu o niej nie słyszałam, niczego też nie zamawiałam. Informację dostałam jednak na mój służbowy e-mail, podany jest też nasz adres.

– Tajemnicza paczka...

– Uwielbiam niespodzianki.

Dostrzegam błysk w jej oku.

– Chyba że ktoś przysłał ci garść pająków albo uciętą dłoń. Może ukłułaś kogoś trochę za mocno.

– A może właśnie w sam raz i ten ktoś wysłał mi teraz czekoladki. – Podkrada mi z biurka długopis i wsuwa go we włosy, żeby upiąć fryzurę. – Proszę, Zorie. Póki tata jest zajęty.

Ostatnie zdanie wypowiada szeptem. Ojciec dostałby szału, gdyby zobaczył mnie w sklepie obok.

– Dobrze, pójdę – zgadzam się niechętnie.

Ach, letnie plany, byłyście mi tak bliskie.

Wystawiam na recepcji ręcznie wykonaną tabliczkę: „ZARAZ WRACAM” i z ociąganiem wchodzę w olśniewający blask poranka niczym skazaniec na szafot.



Photo credit Heidi Darbo

Jenn Bennett to uznana artystka plastyczka, która odnalazła się w pisaniu. Urodzona w Niemczech, wiele podróżowała i mieszkała w Europie, Stanach Zjednoczonych i na Dalekim Wschodzie. Wierzy, że rebelia to niedoceniona forma sztuki – wywołała więcej demonów, niż zjedłicie gorących posiłków, a powieści, które pisze, są takie, jak kawa, którą pija: mocne i bez cukru. Obecnie mieszka niedaleko Atlanty z mężem kinowym geekiem i dwoma bardzo groźnymi mopsami.

Sama w głuszy. Z chłopakiem, który złamał jej serce...

Pedantycznie uporządkowane życie Zorie zbacza ze szlaku, gdy zostaje w górach sama z dziką przyrodą i swoim najgorszym wrogiem – chłopakiem, który złamał jej serce.

Serdeczna niegdyś przyjaźń Zorie i Lennona przerodziła się w zaciętą wrogość. Unikają się jak ognia, w czym nieco pomaga im fakt, że ich rodziny to współczesna wersja Montekich i Kapuletich.

Aż do wypadu w góry, kiedy to Zorie i Lennon zostają uwięzieni w głuszy. Sami. Razem.

Co złego może się stać?...

Z braku innego towarzystwa nie pozostaje im nic innego, jak rozdrapywać stare rany, jednocześnie próbując nie zablądzić na amen. Jednak prywatna wojna zdecydowanie zmniejsza ich szansę na powrót do cywilizacji w jednym kawałku.

Im dalej wchodzą w dzikie tereny, tym więcej tajemnic i skrywanych emocji wypływa na powierzchnię. Czy jednak rozpalone na nowo uczucie Zorie i Lennona przetrwa w świecie codzienności? A może zatliło się tylko na chwilę pod wpływem zapachu lasu i roziskrzonych gwiazd?

Patroni medialni



lubimyczytać.pl

DOBRE KSIĄŻKI

Cogito

dla studenta.pl



www.iuvi.pl

Cena 34,90 zł (w tym VAT 5%)

ISBN 978-83-7966-053-7



9 788379 660537 >